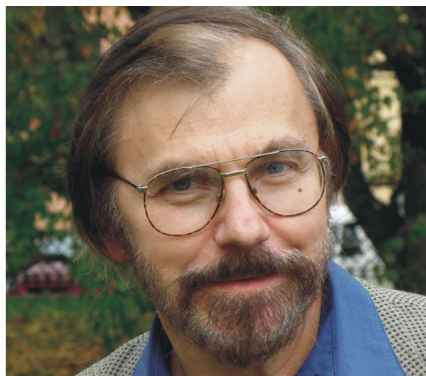


Listy do Pani A. (42)



Będzie maj!

Droga Pani!

Zima jest taką porą roku, w której zamiera, i tak już ledwie dyszące, życie literackie. Imprezy duże, międzynarodowe, na które jeżdżę, zaczynają się dopiero we wrześniu Galicyjską Jesienią Literacką. Mam nadzieję, że i w tym roku tam dotrę, inaczej niż jesienią Andrzej Grabowski na Międzynarodowy Listopad do Poznania. Otóż – jak pisałem Pani poprzednio – nie dostał się do pociągu. Nawet do kilku. Aż nam wszystkim wierzyć się nie chciało, że go nie będzie, a ktoś powiedział, że właściwie nie ma takiego pociągu, do którego nie zmieściłby się Grabowski. Kiedy mu to potem powiedzieliśmy, Andrzej z całym spokojem i wrodzonym humorem odparł, że owszem, ale pod warunkiem, że nie wiezie bagażu ważącego więcej od niego samego. A wiół sporo książek, numerów „Iskry” – pisma literackiego, które w Galicji on sam wydaje.

Ostatnią natomiast dużą imprezą był literacki Festiwal Poezji Słowiańskiej, organizowany po raz kolejny przez Aleksandra Nawrockiego. Całe szczęście, że odbywał się w Warszawie, bo nie trzeba się było nigdzie ruszać. Widzi Pani, jaki egoista ze mnie? Pomyślałem sobie w tej chwili o autorach, którzy przyjechali z innych miejscowości, z zagranicy, nawet z Czeczenii.

Wszystko zaczęło się od wieczornego spotkania z poetami rosyjskimi w Klubie Księgarza. Było bardzo przyjemnie. Rosjanie czytają wiersze zupełnie inaczej niż wszyscy. Słyszałem to wiele razy. Czynią to z jakimś płaczymym patosem. A utwory są bardzo zrytmizowane, najczęściej tradycyjnie rymowane. Może to i dobrze, bo nawet młodzi muszą dostosować się do pewnych reguł. Trudno więc te wiersze oceniać według ogólnych kryteriów. Z drugiej strony brzmią one nieco anachronicznie. Tak jakby poezja rosyjska zatrzymała się na etapie Puszkina i nie odnosiła się do poetyk światowych, nie ewoluowała ku współczesności. Ale jednak urzeka melodyjnością oraz tym, że (może na szczęście?)... niedokładnie ją rozumiemy.

Artystyczną atmosferą można było odechnąć w „Literatce”, gdzie przy winie wszyscy uczestnicy Festiwalu czytali po jednym wierszu. Było to spotkanie równie poetyckie co towarzyskie, a to ma swój szczególny urok.

Czytałem również, a kogo wypatrywałem przy stolikach, to już Pani najlepiej wie...

Inauguracja Festiwalu Poezji Słowiańskiej odbyła się następnego dnia w Muzeum Literatury. Licznie zgromadzonej publiczności zostali zaprezentowani uczestnicy, były występy młodzieży, potem wręczenie dwujęzycznej antologii poezji polskiej, którą zestawili i wydał w Rosji Siergiej Gloviuk, wybitny poeta rosyjski, organizator Festiwalu Poetów Słowiańskich w Twerze. Jest to tym razem prezentacja naszej poezji, bo kilka tomów antologii innych Słowian w tej serii już się ukazało.

A potem w Wilanowie: prezentowano dotychczasowych laureatów UNESCO i „Poezji Dzisiaj”. Aktorzy czytali wiersze, ale autor musiał stać obok recytatora, by widziała go publiczność. Tak zarządził Aleksander Nawrocki. Nie miałem nic przeciwko temu, choć po raz kolejny publiczność owa była „niepełna” – kogoś mi brakowało... Ale wielką przyjemność sprawiła mi wybitna poetka starszego pokolenia, Krystyna Godlewska. Podeszła do mnie i powiedziała, że bardzo ceni moje wiersze. Utwory Krystyny Godlewskiej czytałem od lat. Są głęboko filozoficzne, a dla mnie bardzo ważne i przejmujące. Poczułem się tak, jakbym otrzymał jakąś nagrodę specjalną. W każdym razie takie gesty podtrzymują na duchu.

Niestety, wszystko co dobre szybko się kończy. Wróciłem do rzeczywistości, i nie powiem abym się z tego chwilowo nie ucieszył. A powszedniość, to powszedniość. Poszedłem do sklepu po zakupy. Stoję przy kasie, wypakowuję produkty z koszyka na taśmę, a tu telefon. Jakoś znalazłem w czeluściach kieszeni aparat, okazało się, że to Bohdan Wrocławski. Koniecznie mam napisać recenzję o tomiku bardzo młodej poetki, Anny Marii Musz. Obiecał, że mi przysłał teksty e-mailem, i mam zrobić to natychmiast. Do jutra rana. Byłem zły, bo to piątek, miałem nadzieję, że weekend spędzę leniwie. Ale kiedy przeczytałem jej utwory, od razu siadłem do pisania – tak dobre, indywidualne, daleko odbiegające od młodzieżowego poezjowania. Miałem satysfakcję i z lektury, i z własnej byskawicowości napisania. Tak więc wizyta w sklepie spożywczym zbiegła się nieoczekiwanie z późniejszym przeżyciem artystycznym wynikającym z lektury.

Pomimo wichury i wieczornej pory poszedłem na odsłonięcie tablicy pamiątkowej Zbyszka Jerzyny wmurowanej na jego domu. Z innej okazji nikt by mnie z chałupy nie wyciągnął. Może z jednym wyjątkiem... Ciemno, zimno, ludzi nie rozpoznawałem. Tylko kilka osób: Termerów, Wrocławskich, Duminów... Po dwudziestu minutach wszystko się skończyło.

Za kilka dni poszliśmy na cmentarz, by zapalić świeczki na grobie Zbyszka. Spotkaliśmy się tam w ścisłym gronie: Marek Wawrzekiewicz, Aldona Borowicz, Piotr Tobała, Andrzej Gronczewski i pierwsza żona Zbyszka, p. Bisping. Myślałem, co warto jest nasze życie. I czy ja właściwie boję się śmierci, czy też podświadomie jej pragnę. Byłbym ciekaw, czy Pani odwiedziłaby mnie choć raz na Powązkach? Może dopiero wtedy spotkalibyśmy się, Dziecko... Czasami zazdroścę ludziom w

Pani wieku młodości, a z drugiej strony mocno im współczuję, bo perspektywa życia w tej rzeczywistości wcale nie jest taka szczęśliwa. Ja przynajmniej nie muszę się już troszczyć o pracę, o minimum utrzymania. Co najwyżej o to, czy będę jeszcze pisał. A poza tym nie odnajdzie mnie Pani na Powązkach, bo oddam swoje pozostałości do prosektorium. Wstrętem mnie przejmują te wszystkie funeralne gusła i pasące się na tym stado katabasów; facetów tej samej maści, którzy zabronili wypowiadać się ks. Bonieckiemu, bo mówił rzeczy niewygodne i w dodatku prawdziwe. Ks. Adam to nietuzinkowa i silna osobowość, której nie zniszczyła seminaryjna, prymitywna indoktrynacja. Poza tym to człowiek bardzo wysokiej, wrodzonej kultury, więc trudno się dziwić, że jego duchowość odbiega daleko od kiczowatej liceńskiej religijności. Więc zamknęli mu usta, bo żaden reżim, czy to komunistyczny, faszystowski czy religijny, nie znosi inteligentów.

Może dzięki Pani, może nie, w każdym razie zwycięża we mnie energia życiowa. Adam Marszałek, wydawca i mecenas poetów, poprosił mnie, abym słów kilka powiedział o nowym tomiku Rachel Schancer „Jej twarz”. To cykl wierszy poświęconych Jerozolimie i nią inspirowanych. Jerozolima, to miasto, w którym wzrastała Rachel, które jest jej kolebką, w której wreszcie kształtowała się jej osobowość i wyobraźnia. Porobiłem sobie notatki, aby potem powiedzieć krótko z niczego, czyli z głowy. Byłem zły na siebie, że coś mówię bez sensu, nie miałem czasu na rozwinięcie głównych wątków, potem zakończyłem – a wszystko w dziesięć minut, jak chcieli. Tymczasem po spotkaniu wiele osób podchodziło do mnie gratulując „wspaniałej wypowiedzi”. A Pani tam chyba nie było. Nawet jestem tego pewien. Coraz rzadziej patrzę na salę, staram się Pani nie szukać, choć nie zawsze mi się to udaje.

Ciekaw też jestem, jaki będzie ten nowy rok, czy bardziej optymistyczny, czy dla nas łaskawszy? To dziwne – ja lubiący żarty, humor wszelaki z wisielczym włącznie, nawet cyniczny, tak się eschatologicznie rozliryczniał. Może to kwestia wieku? I komu ja mam o tym pisać, jeśli nie Pani?

Tymczasem coraz bliżej wiosny, choć zima trwa w najlepsze. Jeszcze tylko ten styczeń minie, śmignie luty, w tym roku o jeden dzień dłuższy, i już z górki – marzec, kwiecień, maj... Wakacje, znowu Kaszuby, Mazury, albo inne miejsca. Jest więc się z czego cieszyć. Im więcej słońca, tym mniej czarne są myśli. I tak przyspieszam bieg dni. Właściwie powinienem cieszyć się chwilą. Ależ ja się nią cieszę, jednocześnie lubię tempo, pomimo wszystko. Tak więc dużo radości światła i nadziei (dla nas obojga) na rok 2012 życzy Pani, także urodzinowo –

STEFAN JURKOWSKI

